

Zaremba, M., 2012, *Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Wydawnictwo Znak, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Kraków, ss. 696.

Monografia Marcina Zaremby miała – jak zaznaczył autor we wstępie – przynieść odpowiedź na pytanie: „Czego ludzie się bali? Co budziło ich niepokój?”. Zaremba postawił więc przed sobą zadanie przedstawienia „możliwie pełnej panoramy polskich strachów i lęków w okresie tużpowojennym”. Obszerny tom podzielono na trzynaście rozdziałów, w których Autor omówił kolejno: problematykę strachu; strach w kulturze dwudziestolecia (w tym rozdziale omówiono bolszewizm i „żydokomunę”); psychospołeczne konsekwencje II wojny światowej; powojenne odczucia społeczne; by następnie opisać strach przed: czerwonoarmistami; „ludźmi z demobilu”; szabrownikami; pospolitymi kryminalistami i żołnierzami podziemia; problematykę wysiedleń, przesiedleń i migracji; politykę strachu realizowaną przez komunistyczny reżim; lęk przed brakiem stabilizacji; strach przed głodem, drożyzną oraz chorobami, i zamknąć tom rozdziałem poświęconym fobiom i „przemocy etnicznej”.

Książka wzbudziła znaczne zainteresowanie w środowisku naukowym, trudno jednak ją uznać za pozycję udaną. Autor popełnił błędy na wielu poziomach pracy. Nieprzekonująca jest przyjęta przez niego periodyzacja. Z perspektywy omawianego przez niego zagadnienia trudno uznać, by 1947 rok miał być wyraźną cezurą – czy wówczas zakończył się strach? Z pewnością nie. Czy zatem mamy rok 1947 uznać za koniec „okresu tużpowojennego”? Z jakiego powodu akurat 1947, a nie na przykład 1946 czy 1948 rok? A może 1950 rok... Złe wrażenie robi niekonsekwencja stylu – widoczna choćby w tytułach rozdziałów, które albo mają informacyjne podtytuły, albo są ich pozbawione. Autor stara się im nadać efektowną formę „gazetową”. Problemem jest także podział tematyczny, nad którym Zaremba wyraźnie nie potrafił zapamiętać. Umieścił więc w niektórych rozdziałach problemy raczej do siebie nieprzystające. Przykładowo za „ludzi z demobilu” (rozdział 6) możemy uznać zdemobilizowanych, inwalidów (choćby tych wojskowych) czy dezertów, dlaczego jednak w rozdziale znaleźli się także: „żebracy, włóczędzy, bezrobotni, spekulanci i źli milicjanci” – trudno zrozumieć. Podobnie nie jest do końca jasne, dlaczego w rozdziale

dotyczącym „strachu w kulturze dwudziestolecia” (rozdział 2) opisano tylko bolszewików oraz „chimerę żydokomuny”? Czy innych strachów w tej „kulturze” nie było?

Głównym źródłem publikacji są wspomnienia i relacje. Autor pomija szereg fundamentalnych dla opisywanej przez niego problematyki monografii, ukazujących choćby instytucje komunistycznego aparatu represji. Książek tych nie uważa on jednak za istotne, opowiada się bowiem za postmodernistycznym podejściem do metodologii historycznej. Koncepcja ta, coraz szerzej obecna w świecie akademickim – i zaszczepiana przez część historyków i metodologów młodym badaczom – zmierza do uwolnienia historiografii od tak zwanej historii wydarzeniowej. Otóż – twierdzą między innymi postmoderniści – nie ma prawdy historycznej, bo nie istnieje kategoria prawdy obiektywnej. Zdarzenia z przeszłości są dla historyka niedostępne, może się on jedynie odnosić do relacji o nich zawartych w dokumentach czy wspomnieniach. Postmoderniści wysuwają więc tezę, że historyk nie może dotrzeć do prawdy historycznej (bo tej nie ma), może – co najwyżej – stworzyć pewien opis, który powstanie zgodnie ze standardami i potrzebami jego epoki. Tym samym dzieło to będzie nieobiektywną wypadkową oczekiwań politycznych, społecznych itp., propagandowym konstruktem mówiącym więcej o epoce, w której powstał, niż o tej, której dotyczy. Nie jest zatem opisem historycznej rzeczywistości, ale jedynie jej interpretacją. Skoro zatem nie ma obiektywnej prawdy ani nawet nie da się do niej zbliżyć – powiedzą postmoderniści – to daleko bardziej kształcające od dociekania, co się wydarzyło (czyli od „historii wydarzeniowej”), jest analiza tego, jak to zostało zapamiętane, dodatkowo przyjmując nowe punkty spojrzenia, na przykład tak zwane ujęcie genderowe. W tym wypadku zasadniczy staje się dobór źródeł. Monografia Zaremby wpisuje się więc w rozwijające się w ostatnich latach badania nad „historią zapamiętaną”, których jednym z głównych założeń jest ucieczka od „historii wydarzeniowej”.

W wypadku państwa totalitarnego, jakim była „ludowa” Polska, badanie tak zwanej społecznej pamięci wiąże się jednak z bardzo konkretnymi konsekwencjami.

W systemach totalitarnych wykształcono przeciw mechanizmy utajniania informacji podstawowych dla należytej percepcji rzeczywistości. Równocześnie tworzono propagandowe konstrukcje – dbając,

by jawiły się one jako logiczne i spójne – które wypaczały spojrzenie na rzeczywistość. Przykłady można mnożyć, od kłamliwej tezy o „wyzwoleniu” Polski przez Armię Czerwoną, przez na przykład legalność administracji komunistycznej, zasadność wprowadzenia stanu wojennego, aż po przyczyny transformacji ustrojowej w 1989 roku. Kolejne badania, realizowane zgodnie z klasyczną metodologią historyczną, dowodzą, jak bardzo tak zwana społeczna świadomość tych wydarzeń odbiega od historycznej prawdy. Przez znaczną część społeczeństwa został zapamiętany propagandowy obraz, który następnie był replikowany i przyjmowany przez młodsze pokolenia. Jerzy Topolski – jeden z najbardziej znanych metodologów klasycznych – podkreślał, że

można mówić o trzech rzeczywistościach przeszłych: pierwsza to rzeczywistość, która była realna, druga rzeczywistość, to jej obraz konstruowany przez historyków, trzecia zaś to różnoraki obraz, jaki funkcjonuje w świadomości społecznej. Dla efektywnego działania ludzkiego, którego później nie musiałaby korygować sama historia, ważne jest, by owe trzy rzeczywistości były jak najbardziej zbliżone – to znaczy, by znajdowały się w stosunku odpowiedniości¹.

W wypadku państw totalitarnych problemem jest więc propagandowa ingerencja w ludzką świadomość, doprowadzenie do sytuacji, w której część „historii zapamiętanej” jest w istocie projekcją „historii propagandowej”, jej zakłamanego obrazu narzuconego przez reżim. A przekłamanie to jest wzmacniane przez brak dostępu do części wiedzy.

Przyjmując jednak optykę Zaremby, wywód ten nie ma znaczenia, bowiem – zgodnie z założeniami metodologicznego postmodernizmu – obraz „konstruowany przez historyków” pozostaje poza jego zainteresowaniem. Będzie on, jak się wydaje, dla niego tworem sztucznym, propagandową projekcją przeszłości. Autor recenzowanej monografii bada więc wyłącznie „obraz, jaki funkcjonuje w świadomości społecznej”, w rzeczywistości nie mając dla niego żadnego punktu odniesienia. Skoro bowiem nie ma historycznej prawdy, to „historii zapamiętanej” nie ma z czym zderzyć. Usiłując skonfrontować ludzką pamięć z wydarzeniami historycznymi – zgodnie z prezentowaną na kartach książki koncepcją – zestawilibyśmy kategorię obiektywną,

¹ Topolski, J., 1976, *Świat bez historii*, Wiedza Powszechna, Warszawa, s. 7.

jaką jest pamięć, z tendencyjną interpretacją historii wytworzoną w innej epoce (czy sekwencji historycznej). Przy takim spojrzeniu w pewnym sensie więc traci sens krytyka źródeł historycznych, pozostaje jedynie polifonia głosów, wielość relacji, mnogość historii opowiedzianych przez jej uczestników, które nie składają się w jeden spójny obraz, ale istnieją obok siebie i od siebie niezależnie.

Autor nie pozostał jednak ortodoksyjnie wierny metodologicznemu postmodernizmowi. Jest przywiązany do pewnych tez, przyjętych – jak można sądzić *a priori* – i stara się je forsować na kartach książki. Mamy więc faktycznie do czynienia z pomieszaniem dwóch metodologicznych porządków – klasycznego i postmodernistycznego.

Zgodnie bowiem z ortodoksyjnym metodologicznym porządkiem postmodernistycznym autor powinien zebrać relacje i przedstawić je czytelnikowi z założeniem, że nie ma historycznej prawdy, ale w ludzkiej pamięci zachowały się zróżnicowane obrazy badanej problematyki. Tymczasem Zaremba, twierdząc, że ucieka od „historii wydarzeniowej”, jednocześnie stawia mocne tezy, do których chce nas przekonać, interpretuje zebrany materiał, przedstawiając go nam jako obraz, który powinniśmy przyjąć. Ucieczka od „historii wydarzeniowej” w postmodernizm jest dla niego wygodną furtką, wtedy gdy mu się wykazuje, że – przykładowo – nie wykorzystał literatury przedmiotu, przez co stworzona przez niego wizja jest zupełnie oderwana od zrekonstruowanego przez historyków – na podstawie krytycznej analizy źródeł – obrazu ówczesnej rzeczywistości.

Dlatego właśnie w wypadku recenzowanej książki trudno oprzeć się wrażeniu, że przyjęte założenia metodologiczne były tylko pretekstem umożliwiającym zobrazowanie z góry przyjętej tezy. Jest to szczególnie widoczne na przykładzie jednego z rozdziałów poświęconego strachowi przez podziemiem zbrojnym. Autor temu już wcześniej publikował szereg tekstów – w tym także publicystycznych – w których formułował negatywną ocenę działalności powojennego podziemia zbrojnego. W recenzowanej książce posunął się jednak dalej. Już sam tytuł rozdziału trudno pogodzić z postmodernistyczną polifonią głosów: *Bandytyzm: „Chłopska wojna upadłych żołnierzy”*. Rozdział liczy 39 stron, z których cztery poświęcono *Socjologicznym teoriom bandytyzmu*, cztery *Wojennej genezie powojennego bandytyzmu*, siedem – bandytyzmowi na wsi (*Chłopska wojna*), osiem – bandytyzmowi w mieście (*Zakazane rewiry*), a jedynie siedem *Upadłym żołnierzom*. Jednocześnie autor nie

potrafi udowodnić związków między kryminalnymi środowiskami w mieście czy na wsi a powojennym podziemiem. Po prostu umieścił te zagadnienia w jednym rozdziale i trudno oprzeć się wrażeniu, że uczynił to intencjonalnie, by wzmocnić negatywny przekaz dotyczący powojennej konspiracji zbrojnej. Na siedmiu stronach dotyczących działalności zbrojnego podziemia wykazał się dodatkowo daleko idącą ignorancją, stawiając na równi akcje ekspropriacyjne przeprowadzane przez zbrojne oddziały z kryminalnymi przestępstwami popełnianymi przez żołnierzy podziemia – za które groził im sąd polowy, a w wielu zgrupowaniach partyzanckich surowe kary, z karą śmierci włącznie. W tym wypadku ucieka od „historii wydarzeniowej”, uznając, że przyczyny działań podziemia nie są istotne, gdy bada się ludzki strach przed nimi.

Wśród zwolenników klasycznej metodologii historycznej praca Zaremby musi budzić niedosyt. Zastanianie się ucieczką od „historii wydarzeniowej” sprawia, że autor temu czuje się zwolniony z obowiązku krytyki cytowanych źródeł. Liczba merytorycznych błędów, pominiętych wątków, osobliwości interpretacyjnych jest w tej pracy ogromna. To, co jednak musi budzić największe zdumienie, to fakt, że opisowi terroru wprowadzonego przez komunistów poświęcono w tomie raptem 31 stron – na których *nota bene* wymieszano lęk przed sowieckim NKWD i aparatem represji stworzonym przez polskich komunistów. Chaotyczny, złożony z przypadkowych zdarzeń i cytatów rozdział daleki jest od całościowego obrazu realizowanej przez komunistyczną władzę inżynierii strachu. Czy ucieczka od „historii wydarzeniowej” uzasadniania podejście, w którym lękowi przed systemem przynoszącym śmierć kilkudziesięciu tysięcy osób i uwięzienie kilkuset tysięcy, można poświęcić mniej miejsca niż lękowi przed szabrem (temu zagadnieniu poświęcono w tomie 41 stron) czy fobiom i „przemocy etnicznej” (zagadnienie najobszerniej omówione – na 91 stronach)? Może jest tak dlatego, iż – analizując tytuł pracy – powinniśmy za autorem uznać, że proces podboju Polski przez Armię Czerwoną i zainstalowania nad Wisłą przez ościenne mocarstwo marionetkowej administracji był dla społeczeństwa zwykłym „kryzysem”.

Filip Musiał

Akademia Ignatianum w Krakowie
Instytut Politologii